

ZEZNAŃIA RANDALPHA CARTERA



Powtarzam wam, panowie, że kontynuowanie waszego śledztwa nie ma większego sensu. Skażcie mnie na dożywocie jeżeli chcecie, zamknijcie w więzieniu lub zabijcie, jeśli potrzebujecie kozła ofiarnego dla iluzji, którą zwiecie sprawiedliwością; ja jednak, nie mogę powiedzieć nic więcej, nadto, co zeznałem dotychczas.

Wszystko co pamiętam, wyznałem wam, z idealną szczerością. Nic nie zostało przeoczone czy zatajone, a jeżeli coś wydaje się niejasne, to jedynie z powodu mrocznej chmury jaka przyćmiła mój umysł oraz porażającej natury koszmaru jakiego doświadczyłem.

Raz jeszcze powtarzam, nie wiem co się stało z Harley'em Warrenem, choć sądzę - ba, nawet mam nadzieję - że pogrążył się w błogim zapomnieniu; jeżeli naturalnie w ogóle można mieć nadzieję, że istnieje coś takiego. To fakt, od pięciu lat byłem jego najbliższym przyjacielem, i w pewnym sensie brałem z nim udział w przerażającej wyprawie badawczej w głąb nieznanego, nie zaprzeczam, choć moja pamięć jest mglista i niespójna, że, jak twierdzi wasz świadek, mógł widzieć nas razem na Gainsville Pike, zmierzających ku Wielkim Cyprysowym Moczarom, o wpół do dwunastej owej potwornej nocy. Mogę nawet potwierdzić, że mieliśmy latarnie, łopaty i spory zwój drutów z przyłączonymi aparatami. Każdy z tych przedmiotów odegrał swoją rolę w jednej upiornej scenie, której wspomnienie wryło mi się głęboko w pamięć.

Jednak co się tyczy późniejszych wydarzeń i powodu, z jakiego następnego ranka odnaleziono mnie samego, w stanie głębokiego szoku, na skraju trzęsawiska, stanowczo oświadczam, iż nie wiem nic, za wyjątkiem tego, co musiałem wam zeznawać, raz po raz, praktycznie bez końca. Twierdzicie, że tam na bagnach, ani nigdzie w pobliżu nie ma nic, co potwierdzałoby moją upiorną opowieść. Powtarzam: nie wiem nic, ponadto, co widziałem. Może była to wizja lub koszmar - dalibóg, pragnąłbym, aby tak było - ba, mam taką cichą nadzieję - jednak nie potrafię zapomnieć o tym, co wydarzyło się w ciągu tych szokujących godzin, kiedy we dwóch udaliśmy się na trzęsawisko. A jeżeli chodzi o to dlaczego Harley Warren nie wrócił, chyba jedynie on, jego cień, lub jakaś bezimienna istota, której nie jestem w stanie opisać, mogliby odpowiedzieć na to pytanie.

Jak już wcześniej mówiłem, dobrze wiedziałem o dziwnych zainteresowaniach Harley'a Warrena i w pewnym sensie je podzielałem. Spośród ogromnej kolekcji dziwacznych, starych ksiąg dotyczących rzeczy zakazanych, przeczytałem wszystkie, stworzone w znanych mi językach. Stanowią one wszakże drobny ułamek w porównaniu z tymi, których ze względu na nieznaną formę języka, nie byłem w stanie przetłumaczyć. Większość z nich jest, jak sądzę, napisana po arabsku, zaś księga którą miał ze sobą Warren tamtej nocy - Księga traktująca o Złu, którą zabrał ze sobą w kieszeni schodząc z tego świata - zapisana była pismem, którego nigdy dotąd nie widziałem.

Warren zaś nigdy nie mówił mi o treści tej książki. Co się tyczy natury naszych badań - czy mam powtórzyć, że nie w pełni ją teraz pojmuję?

Fakt ów zda się być dla mnie łaskawością, gdyż były to potworne nauki, które zgłębiałem bardziej wskutek pełnej wahań fascynacji, niżli dzięki memu nastawieniu. Warren zawsze nade mną dominował i czasami - swoją wiedzą - przerażał mnie. Pamiętam jak przeszedł mnie dreszcz, na widok jego wyrazu twarzy, w noc przed upiornym zdarzeniem, kiedy z niezwykłym przejęciem mówił o swojej teorii, dlaczego niektóre włoki nigdy nie ulegają rozkładowi, lecz spoczywają przez tysiąc lat nie zmienione i tłuste w swoich grobowcach. Teraz jednak już się go nie obawiam, gdyż podejrzewam, że poznał zgrozę przekraczającą moje zdolności pojmowania. Obecnie boję się o niego.

Powtarzam, nie wiem co konkretnie było naszym celem owej nocy. Z całą pewnością miało to wiele wspólnego z treścią księgi, którą Warren zabrał ze sobą; z ową prastarą księgą w niemożliwym do odczytania języku, którą otrzymał z Indii miesiąc wcześniej, ale mogę przysiąc, że nie wiem co mieliśmy tam znaleźć. Wasz świadek mówi, że widział nas o wpół do dwunastej w nocy na Gainesville Pike, jak szliśmy w kierunku Wielkich Cyprysowych Moczarów. Jest to zapewne zgodne z prawdą, ale szczerze mówiąc, nie pamiętam. Przed oczami mam jeden tylko obraz, a musiało być wtedy sporo po północy - bo wysoko na spowitym oparami niebie wisiał blednący sierp księżycyca.

Naszym celem był stary cmentarz, tak stary, że zadygotałem widząc jak czas okazał się dlań bezlitosny. Położony był on w głębokiej, podmokłej kotlinie, zarosłej bujnymi trawami, mchem oraz dziwnymi pnąciami chwastami i wypełnionej słabym acz wyczuwalnym smrodem, który nie wiedzieć czemu skojarzył mi się, absurdalnie, z gnijącymi kamieniami. Z każdej strony widać było ślady zaniedbania i upadku, i pamiętam, że odniosłem niepokojące wrażenie iż Warren i ja byliśmy pierwszymi żywymi istotami, które od stuleci ośmieliły się nawiedzić to spowite grobową ciszą miejsce.

Ponad krawędzią kotliny gasnący księżyc wyjrzał spośród zasłony cuchnących oparów, które zdawały się bezgłośnie wypływać z głębi grobowców, i w jego słabym świetle ujrzałem odrażającą, chaotyczną mozaikę antycznych płyt nagrobnych, urn, kenot i fasat mauzoleów. Wszystkie były zmurszałe, porośnięte mchem i pokryte plamami wilgoci, po części zaś nikły wśród bujnej acz zgoła niezdrowej roślinności.

Pierwszym wyraźnym wspomnieniem z mojej wizyty w tej potwornej nekropolii jest scena, kiedy zatrzymałem się wraz z Warrenem przed pewnym na wpół zniszczonym grobowcem i położyłem na ziemi część naszych rzeczy. Dopiero teraz zauważyłem, że niosłem latarnię i dwie łopaty, zaś mój towarzysz oprócz latarni, dźwigał przenośny telefon. Nie zamieniliśmy słowa, zupełnie jakbyśmy obaj doskonale znali cel tej nocnej wycieczki. Bezzwłocznie chwyciliśmy za łopaty i zaczęliśmy oczyszczać płaski, archaiczny grobowiec z pokrywającego go mchu, traw, chwastów i naniesionej ziemi.

Po odsłonięciu całej powierzchni, na którą składały się trzy wielkie, granitowe płyty, cofnęliśmy się nieznacznie by móc się lepiej przyjrzeć starym grobowcowi. Warren zdawał się obliczać coś w myślach, po czym ponownie podszedł do grobu i używając łopaty jak dźwigni, próbował podnieść jedną z płyt znajdujących się najbliższej sterty gruzów, która niegdyś mogła być pomnikiem.

Nie udało mu się to i skinął na mnie, abym mu pomógł. W końcu, wspólnymi siłami zdołaliśmy obluzować kamień, podnieśliśmy go i zwaliliśmy na bok.

Oczom naszym ukazała się mroczna czeluść, z której buchnął kłęb miazmatycznych gazów, tak duszący, że cofnęliśmy się jak porażeni. Jednakże, chwilę później, po ponownym zbliżeniu się do otworu, stwierdziliśmy, że wyziewy nie są już tak dokuczliwe.

Blask latarni ukazał stopnie kamiennych schodów, ociekających jakąś ohydną posoką wypływającą z trzewi ziemi i okolonych wilgotnymi, omszałymi ścianami, I właśnie teraz, moja pamięć rejestruje pierwszą wymianę zdań, słowa Warrena skierowane do mnie i wypowiedziane jego miękkim, melodyjnym głosem, w którym nie pobrzmiwał nawet cień zaniepokojenia, jakie mogło wywoływać przerażające otoczenie.

- Przykro mi, że muszę cię poprosić, abyś pozostał na powierzchni - rzekł - ale byłoby zbrodnią pozwolenie komuś o tak słabych nerwach jak ty, zejść w głąb tych katakumb. Nie jesteś sobie w stanie wyobrazić, nawet po tym co czytałeś i o czym ci opowiadałem, co przyjdzie mi wytrzymać i uczynić, tam, na dole. To dzieło Złego, Car-ter, i wątpię czy jakkolwiek człowiek, nie mający stalowych nerwów, byłby w stanie zobaczyć to wszystko i powrócić na powierzchnię żywy i przy zdrowych zmysłach. Nie żyw do mnie urazy. Bóg mi świadkiem, że bardzo chciałym, abyś wszedł tam ze mną -jednak w pewnym stopniu spoczywa na mnie odpowiedzialność, i nie mógłbym ciągnąć ze sobą takiego kłębka nerwów w otchłań ku prawdopodobnej śmierci i szaleństwu. Powiadam ci, nie wyobrażasz sobie, co się tam znajduje! Jednakże obiecuję, że o wszystkim będę informował cię przez telefon - jak widzisz mam dostatecznie dużo drutu, aby dotrzeć z nim do samego środka ziemi i z powrotem.

Wciąż brzmia w mej pamięci te wypowiedane spokojnie słowa i nadal pamiętam gorejący we mnie płomień sprzeciwu. Tak bardzo pragnąłem towarzyszyć memu przyjacielowi w wędrówce w głąb prastarego grobowca, ale on okazał się nieugięty. W pewnej chwili zagroził, że przerwie całą wyprawę, jeżeli nadal będę się upierał. I groźba okazała się skuteczna, jako że to on dzierżył klucz do wszystkiego. Pamiętam to wszystko, ale nie przypominam sobie co konkretnie było naszym celem, czego szukaliśmy. Uzyskałszy, aczkolwiek z wahaniem, moją zgodę na przyjęcie jego koncepcji Warren podniósł z ziemi zwój drutu i podłączył przyrządy. Kiedy skinął

głową wziętem do ręki aparat i usiadłem na starym, wypranym z kolorów kamieniu płyty nagrobnej opodal niedawno przez nas otwartego zejścia do katakumb. Następnie podał mi rękę, zarzucił zwój drutu na ramię i znikł w głębi owej niemożliwej do opisanego kostnicy. Jeszcze przez pewien czas widziałem blask jego latarni i słyszałem szelest ciągnącego się za nim po ziemi przewodu; jednak poświata znikła nieoczekiwanie, jakby przyjaciel mój ni stąd, ni zowąd natrafił na załom korytarza. Dźwięk ucichł równie gwałtownie. Byłem sam, a jednak połączony z nieznaną czelusią owymi magicznymi przewodami, których izolowana powierzchnia połyskiwała zielonkawo w słabym świetle niknącego sierpa księżyca. Raz po raz spoglądałem na zegarek, przyświecając sobie latarnią i z narastającym niepokojem wsłuchiwałem się w słuchawkę telefonu - jednak przez ponad kwadrans panowała w niej głęboka cisza. Nagle usłyszałem cichy trzask i zawołałem mego przyjaciela.

Pomimo napięcia, absolutnie nie byłem przygotowany na słowa jakie doszły mnie z głębi tych mrocznych i niesamowitych katakumb i jeszcze nigdy nie słyszałem w głosie Harleya Warrena równie silnego zdenerwowania i drżenia. Ten, który jeszcze nie tak dawno, odchodząc, starał się mnie uspokoić, zwracał się teraz do mnie z wnętrza grobowca drżącym szeptem, który brzmiał bardziej złowrogo niż najgłośniejszy krzyk!

- Boże, gdybyś mógł widzieć to co ja.

Nie mogłem odpowiedzieć. Odjęło mi mowę i mogłem jedynie słuchać. Po chwili znów doszedł mnie ten sam, przesycony napięciem, szept - Carter, to przerażające - potworne - niewiarygodne.

Tym razem głos mnie nie zawiódł i zalałem słuchawkę potokiem pełnych ekscytacji pytań. Przerażony, raz po raz powtarzałem:

- Warren, co tam jest? Co tam jest?

Ponownie usłyszałem głos mego przyjaciela, w dalszym ciągu ochrypli od strachu, teraz jednak wyraźnie podbarwiony rozpaczą.

- Nie mogę ci powiedzieć, Carter! To po prostu nie do pomyślenia - nie odważę się tego powiedzieć... żaden człowiek nie mógłby o tym wiedzieć i pozostać przy życiu! Boże...! Nigdy coś takiego nawet mi się nie śniło!

I znów cisza, jeżeli nie liczyć bezładnego potoku zadawanych przeze mnie pytań. A potem głos Warrena, bardziej, o ile to możliwe, przerażony i przepelniony konsternacją.

- Carter, na miłość boską, połóż płytę z powrotem i jeśli tylko możesz, uciekaj! Szybko - rzuć wszystko i uciekaj, to twoja jedyna szansa! Zrób co mówię i o nic nie pytaj! Nie każ mi niczego wyjaśniać!

Usłyszałem to, ale mogłem jedynie powtarzać moje gorączkowe pytania. Wokół mnie były grobowce, mrok i cienie; poniżej zaś jakieś zagrożenie, przekraczające wszelkie ludzkie wyobrażenia. Jednak mój przyjaciel był w większym niebezpieczeństwie niż ja, i pomimo iż bardzo się bałem, poczułem się nieco urażony, że w tej sytuacji mógł żądać bym pozostawił go samego. Rozległ się kolejny trzask i, po krótkiej chwili, zatrważające ponaglenia Warrena:

- Spływaj! Na litość boską, połóż płytę na miejsce i spływaj stamtąd, Carter!

Coś w młodzieńczym slangu mojego przerażonego towarzysza odblokowało moją zdolność myślenia. Zebrałem się w sobie i zawołałem:

- Warren, trzymaj się! Schodzę do ciebie! Jednak na te słowa, Marley odchrząknął w nieskrywanej rozpacz.

- Nie! Nie rozumiesz! Już jest za późno - i to moja wina. Połóż płytę na miejsce i wiesz - nic innego nie możesz zrobić ani ty, ani nikt inny!

Ton znów się zmienił - tym razem jednak nieco złagodniał, jakby w wyrazie beznadziejnej rezygnacji. Ja jednak, przez swój strach wyraźnie wyczuwałem w nim napięcie.

- Szybko - zanim będzie za późno.

Próbowałem nie zwracać na niego uwagi; usiłowałem przełamać paraliż jaki mnie ogarnął i spełniając swoją obietnicę, czym prędzej ruszyć mu z pomocą. Jednak gdy rozległ się kolejny szept wciąż jeszcze trwałem w kompletnym bezruchu, spętany niewidzialnymi okowami niewypowiedzianej zgrozy.

- Carter - pośpiesz się! To nic nie da; musisz odejść... lepiej żeby jeden, niż dwóch... płyta...

Przerwa - kolejne trzaski i słaby głos Warrena:

- To już prawie koniec; nie utrudniaj sprawy, zakryj te cholerne schody i wiesz, jeśli ci życie miłe. Tylko tracisz czas! Bywaj Carter - już się nie zobaczymy.

Jednocześnie szept Warrena przerodził się w krzyk; krzyk stopniowo zmieniający się we wrzask zawierający w sobie całą zgrozę wieków...

- Przeklinam te piekielne istoty... Legiony... Mój Boże! Uciekaj! Spływaj! Spływaj! Wiej!

Po tym zapadła cisza, nie wiem ile niezmiernych eonów siedziałem, jak wrośnięty w ziemię, szepcząc, mamrocząc, wołając i wrzeszcząc do słuchawki telefonu: „Warren! Warren! Odpowiedz - jesteś tam?”

I wtedy stało się najgorsze, był to istny koszmar - niewiarygodny, niewyobrażalny, rzekłbym nawet, niepowtarzalny, coś czego nie sposób opisać. Jak powiedziałem, wydawało mi się, że minęły całe eony odkąd Warren wykrzyczał do mnie swe ostatnie, rozpaczliwe ostrzeżenie, i że obecnie jedynie moje własne krzyki przerywały okropną ciszę. Jednak po chwili usłyszałem w słuchawce kolejne szczęknięcie i wy tężyłem słuch. Ponownie zawołałem: „Jesteś tam, Warren?” A w odpowiedzi usłyszałem coś co sprawiło, że mroczna chmura spowiła mój umysł, nie staram się tłumaczyć tego czegoś, tego głosu, ani też nie pokuszę się o bliższą jego charakterystykę, jako że już pierwsze słowa pozbawiły mnie świadomości i stworzyły mentalną kurtynę, która uniosła się dopiero, kiedy ocknąłem się już w szpitalu.

Cóż mam powiedzieć?

Czy mam stwierdzić, że ów głos był głęboki; płytki; galaretowaty; odległy; niezmierny; nieludzki; bezcielesny?

Cóż mam powiedzieć?

To była ostatnia rzecz jaką zarejestrowałem. Usłyszałem go i nic poza tym nie wiem; usłyszałem go siedząc jak skamieniały na nieznanym cmentarzysku w kotlinie, pośród potrzaskanych płyt i obróconych w gruzy grobowców, mając w nozdrzach woń gnijącej roślinności i fetor miazmatycznych wyziewów. Usłyszałem ten głos, płynący z najgłębszych czeluści przeklętego, otwartego grobowca, wpatrując się w amorficzne widmowe cienie tańczące poniżej przeklętego, bladego sierpa księżyca.

To coś powiedziało:

- Ty głupcze, Warren NIE ŻYJE!

Autor: Howard Phillips Lovecraft

[Początek]